

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 17 PAŹDZIERNIKA 1915

NR. 12.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Patrol ułański.

Fot. Stanisław Janowski.

W ROCZNICĘ TRZYDZIESTEGO WRZEŚNIA.

Było to już zwyczajem u starożytnych ludów, że doniosłe wypadki, chwalebne zaczątki w narodowych spisywano annałach i obchodzono je jako wielkie narodowe rocznice, pamiątki i święta, mające na celu rozbudzić, podnosić i krzepić narodowego ducha.

Podobnie i u nas — w wojennym calendarium naszej karpackiej Legii, krwawych potyczek i jasnych dni — to pamiętne daty — do nich liczym i dzisiejszy dzień, w którym zebrani przed Pańskim Ołtarzem, doniosłą święcim rocznicę — rocznicę wyruszenia naszej Brygady w pole do krwawego z odwiecznym wrogiem porachunku.

Bracia! — rocznica, więc po zwyczajuj,
Każdy swą powinność spłaci —
Wspomnienie czynów święci dla kraju,
A łzę i modlitwę za Braci.

Rok już temu, jak każdemu z nas matka, siostra a niektórym żona, córka, poświęcony na piersi kładła krzyżyk, medalik — niby jako puklerz od złego, a wojenny talizman i ze łzą w oku żegnając, zwycięskiego wszystkim nam życzone powrotu.

Rok już temu — jak strzeleckie, sokole i bartoszwowe porwały się z Krakowa i Mszany drużyny i poleciały na dalekie, węgierskie i bukowińskie boje. Siget, Rafajłowa, Nadwórna, Zielona, Huculszczyzna, Okörmezö, a potem od Prislöpu, Kirlibaby przez Śniatyn aż pod Halicz, niemal i z powrotem na bessarabskie krańce — to jeden długi etap tytanicznych zapasów, zmagają i wysilków w lunie pożarów krwiożerczej wojny — opromieniający obydwa nasze pułki krwawą aureolą zwycięstw i chluby polskiego oręża żelaznej brygady. A choć i dziś

na kłosach polnej trawy
świeżo ściętej,
skrzą się perły naszej sławy,
krople świętej... krwi..

nic to! dziś po roku silniej jeszcze:

Ponad łąny i burzany,
nad zagony i wygony,
z bessarabskich granic strony,

straż trzymają Legiony
i ich krwawo biały sztandar.. łśni..

Dziś, po roku krwawych bojów, zmudnych marszów, ciężkich znojów — cóż powiedzieć Wam Starszyny i Wam młodzi?... To co zawsze — na dalszy okres nowych walk z Bogiem — z wiarą — z nadzieją i miłością za nasze ideały!...

„Si Deus nobiscum — quis contra nos“... I ten Bóg władca miłuje zapal siły — ale nie bezmyślną trwożę — bo On Sam powiedział: „Kto sobie dopomaga — temu i Ja dopomogę“.

Dziś z pod stopy nawet lichy płaz...
na wolność się przeży...
I my nie zostaniemy, jak ten niemy głaz
gdy nas wróg ciemniejszy...

Hej! póki starczy w żyłach krwi — w piersiach tehu! za tyle krwawych naszych ofiar — „zemsta mu“. Tak — zemsta im — ale w Bogu! Bo ten Władca Bóg dotąd naszymi kierował krokami, towarzyszyło nam Jego błogosławieństwo i cud to Jego widoczny, żeśmy dotąd wśród tak strasznych warunków i okoliczności zdala... zdala od ojczyźnych stron nie zmarnieli i nie zczeźli — to widoczna nad nami Opatrzność Boża — że dotąd wszystko przetrwaliśmy, żyjemy i zwyciężyć się nie daliśmy i nie damy, gdy pójdziemy w imię Jego i tej wiary wyssanej z matczynej piersi, bo

„każdą zaporę, każdą przekorę
wiara roztrzaska, w wierze potęga
gdy siły sprzęga... w wierze, nadziei
miłości — taska..

Więc w dalszy, nowy okres walk, w to tylko zawiermy i w bagnety, w szablę, w karabin *pro Deo et patria* uderzymy.

A tym, co od nas na wieki po laury do Boga odeszli, tych wspomnieniem, modlitwą poczczymy:

Dajże im dobry Panie
Wieczne spoczywanie,
A z ich krwi — niech Polska wstanie!

X. Wład. Antosz, kapelan.

R O Z K A Z.

C. i K. KOMENDA II. BRYGADY LEGIONÓW POLSKICH.

Kwatera, dnia 30. września 1915.

Legioniści! Dziś rocznica dnia, w którym najliczniejsza część świeżo powstałych Legionów polskich ruszyła pod dowództwem Jego Ekszellenicy marszałka polnego por. Durskiego z Krakowa, by zetrzeć się z odwiecznym wrogiem.

Wiele od Was w ciągu tego roku wymagano; wiele krwi popłynęło; ale też wiele zdziałano! Po większej części uzbrojeni w Werndle, bez karabinów maszynowych, z trenami na prędce zaimprovizowanymi, stanęliście 5. października 1914 r. koło Maramaros Sziget naprzeciw doskonale uzbrojonego, doświadczonego wroga. I jakżeż prędko zmusiliście go, by uwierzył w waleczność polską!

Legioniści! Krótki przegląd czynów ostatniego roku niech uprzytomni młodszym Waszym kolegom to, co zdziałali starsi, weterani naszej Brygady.

W pierwszej połowie października 1914 zostały za Waszym współdziałaniem oczyszczone z nieprzyjaciela komitaty Maramaros i Bereg, przyczem mimo nieznacznych podówczas doświadczeń wojennych wykazaliście z miejsca swą dzielność.

Bezpośrednio po tym chlubnym czynie zostały Legiony powołane, by przeszedłszy przez Karpaty, zaatakowały wroga w Galicyi. Na nieprzebytych wyżach, przez przełęcz Pantyru zbudowaliście „Drogę Legionów“ — pomnik Waszej wytrwałości. Wasz zwycięski pochód przez Rafajłową, Zieloną, Pasieczną, Pniów, Nadworną aż do Bohorodczan, walka pod Mołotkowem, trzymanie pozycji na północnych stokach Karpat przez całą zimę, do ofensywy wiosennej, a przeciw przeważającemu nieprzyjacielowi — zostaną wpisane złotymi głóskami na kartach dziejów polskiego oręża.

Gdy część Legionów jako niezłomna straż Karpat stanęła u stóp przełęczy Pantyru, ruszyła druga część w drugiej połowie listopada na Huculszczyznę, by tam, koło Żabiego, Jasieniowa, Krzyworówni i t. d., w szeregu zwycięskich bitew powstrzymać napierającego nieprzyjaciela.

Następnie zostaliście powołani do powstrzymania naporu wroga, poraz wtóry usiłującego przedostać się przez Karpaty. Wśród niesłychanych trudów, wśród wielce niepomyślnych warunków atmosferycznych, zdołaliście utrzymać przełęcz Ökörmezką i nie zachwialiście się ani razu mimo wyczerpanych wysiłków wroga, mimo niezwykle silnych ataków nieprzyjacielskich w czasie święta Bożego Narodzenia.

W drugiej połowie stycznia zażądano od Was wielkich, wyczerpujących czynów. Gdy oddziały Legionów, znajdujące się w Rafajłowej, zwycięsko oparły się atakowi nieprzyjacielskiemu dnia 24. stycznia, a w następnych dniach zmusiły wroga do odwrotu — ruszyły bataliony, broniące Ökörmező, w Karpaty wschodnie, by współdziałać w pomyślanej na wielką skalę ofensywie 7 armii. Kirlibaba, Jakobeny, Kimpolung, Śniatyn, Tłumacz, Niżniów, Jezupol, Korolówka, Bortniki — oto drogowskazy 400 kilometrów wynoszącego, zwycięskiego pochodu Legionów od południowej Bukowiny po linię Dniestru, tego ciężkiego a wciąż sukcesem popartego boju od 18. stycznia do 15. marca.

Po krótkim, czterotygodniowym wypoczynku w Kolomyi, ruszyliście dla obrony granic państwa na obecny teren operacyjny. Gorące tu staczałiście boje. Walcząc wspólnie ze sławną 7. armią, odpieraliście starającego się przedostać przez granicę wroga. Potyczki pod Dobronowcami i Toporowcami, nad Prutem, koło Strzeleckiego Kuta i Biłi, bitwy pod Mamajestie, Szubrawcem, Witelówką, Zadobrówką, Rarańczą i Rokitną, bohater-ski atak konnicy pod Rokitną — są świadkami Waszego męstwa i cnót żołnierskich. Około 2000 ludzi zabraliście wtedy odwiecznemu wrogowi.

Legioniści! Od przeszło 3 miesięcy, wchodząc w skład dzielnego 11. korpusu, stanowi nasza Brygada straż graniczną. Liczne ataki nieprzyjacielskie w niwecz się obróciły wobec Waszej wytrzymałości, Waszej dzielności!

Legioniści! Z dumą możecie spoglądać na Wasze czyny. Aczkolwiek nie danem Wam było walczyć na Waszej ziemi ojczyściej, mimo to oddaliście tesame usługi umiłowanemu Cesarzowi, monarchii i Waszej Ojczyźnie. Wroga zwalczać tam, gdzie się go znajduje — w tem rękojmnia przyszłości; woła zwycięstwa — to zmiażdzenie wroga.

Legioniści II. Brygady! Ojczyzna wdzięczną Wam jest. I choćby nas czekały jeszcze cięższe boje i trud — w Waszej dzielności i wytrzymałości rękojmnia zwycięstwa!

Küttner, mp. pułk.



W Karpatach.

Fot. Stanisław Janowski.

N A S Z M I L I T A R Y Z M.

Gdyśmy w pole przed rokiem szli — rzucono nam niejednokrotnie słowa zwątpienia i niewiary:

— Idą na rzeź! — Niewyćwiczeni! — Bezbronni!
— Szaleństwo!

Dziś nasuwa się pytanie, tak dla laika wojskowego jak i dla fachowca doniosłe — pytanie, które nazwać można „problem wojska ochotniczego“. Czy więc korpus ochotniczy, który nie ma za sobą długiego żywota koszarowego, wyspecjalizowanych rot — może w wojnie odpowiedzieć zadaniu, czy też tworzenie takiego wojska jest istotnie wystawianiem ludzi na rzeź, czy jest szaleństwem.

— — — — —
Żołnierze nasi ruszając w pole, nie mieli w sobie nic z regularnego wojska — i owszem, pierwsze nieudolne prace organizacyjne raczej wpłynęły demoralizująco — głodny, źle odziany i w najgorszym nastroju, wyruszał legionista z Krakowa.

Druga brygada sformowała się wtedy, gdy najgorętsze, najlepiej w organizacjach strzeleckich wyćwiczone, najlepszych posiadające oficerów, oddziały Pilsudskiego już wyruszyły w pole.

To też pierwsze kroki wojenne oddziałów, które później weszły w skład drugiej brygady, napawały serca komendantów straszliwą obawą, poczucie odpowiedzialności kazało drzeć na myśl, co się stanie w pierwszym większym boju.

Dotąd należy, iż obydwie pułki, 2-gi i 3-ci stanęły od razu w jednej linii z wytrawnym żołnierzem austriackim, a pierś o pierś z najlepszymi oddziałami rosyjskimi.

I oto każda walka, każda operacja, staje się krwawą szkołą dla domorosłego żołnierza. Ile trudów i zmagañ, ile otiar krwawych ponieśli ci, którym powierzono honor oddziałów — wiedzą tylko oni.

Rok cały bezustannego doskonalenia się, bezustannego wypieniania zła, trzebienia niekarność i wpajania w polu(!) zasad życia koszarowego. Wojna rozluźnia normalnie dyscyplinę wojska, bo daje więcej sposobności do wykroczeń niż czas pokoju.

Dla nas ta wojna stać się musiała szkołą. Najlepszy obrachunek wartości naszej po roku wojny da obraz tego, co dziś stanowimy.

Bo to, że w przeciągu całorocznej kampanii nie ma 2-ga brygada na swym honorze i ambicyi ani jednej najdrobniejszej plamki, że ani jeden z jej oddziałów nie stał się powodem do jakichkolwiek najmniejszych niepowodzeń — że na naszym froncie nigdy nie wiodło się nieprzyjacielowi, że jeśliśmy ustępowali, to zawsze jako osłona odwrotu — to może to być dziełem przy-padku lub szczęścia.

Że w atakach w przełęczy Kirlibaby czy pod Nadworną; w wielkiej ofensywie naddniestrzańskiej, a później nadprutniańskiej i bessarabskiej groniła 2-ga brygada kunsztowną akcją wielkie siły wraże, że w górach i na równinach, jej operacje stawały się zawsze klu-

czem wyjścia dla całej armii do długich i skutecznych ofensyw, wreszcie, że przeszła w ciągu 10 miesięcy 126 bitew zwycięskich — to wszystko może mówić tylko o nie nowej bitności polskiej i może nikogo nie zdziwi.

To wszystko jednak nie mówi jeszcze o wartości 2-giej brygady, jako o nowoczesnym, regularnym wojsku, nie mówi czy Polak w tym wojsku potrafił otrząsnąć się z wad i przywar niewolnego żywota, czy stanął na wysokości wymagań militarizmu polskiego. Nie mówi, czy 2-ga brygada może być istotną podwaliną i wzorem dla nowej budowy polskiej.

Czy potrafiła się otrząsnąć z mszczącej się wiecznie na życiu polskim mary politykomanii w wojsku, noszącej w sobie zarodki rokoszu i rozkładu? Czy wreszcie nie zatraciła 2-ga brygada gorącego patriotyzmu i myśli głębszej...

I w tym względzie — z pełną i świadomą czyną powagą wyrzec mogę:

— Tak!

Bo jeśli obok uznań dla 2-giej brygady za bohaterstwo i bitność nie szczędzą nam obcy uznań również za, egipskiego wysiłku wymagającą budowę pozycyi, a przeprowadzoną wyłącznie siłami legionistów — to samo już mówi, żeśmy żołnierz regularny.

Pobyt na obcej ziemi, wspólna niedola i tęsknota za krajem wtłoczyły w serca naszego żołnierza umiłowanie głębokie Ojczyzny. Z oddalenia śledzenie przejawów życia narodu wzbudziły wstręt do warcholstwa, wpoily w dusze nasze pęd ku zgodnemu zawarciu w jedno wszystkich sił narodu. Stąd harmonia wewnętrzna 2-giej brygady i prosty, szczery, żołnierski stosunek do idei legionowej. A jeśli chcecie zrozumieć co myśli nasz żołnierz i czy myśli — posłuchajcie wieczorami cichych, smutnych, improwizowanych piosnek...

Jeśli dziś jeszcze trwamy na obcej ziemi bez słowa polskiego, bez podniety — sobie i swemu szczęściu pozostawieni — to jest w nas patriotyzm głęboki. —

Jeżeli żołnierz nasz pogodnie patrzy w przyszłość — to jest w nas wiara w zwycięstwo lub w potrzebę naszego przetrwania...

I oto w powyższym oświeceniu staje wobec nas problem wojska improwizowanego.

„Polak stanie od razu starym żołnierzem“ choćby został rzucony w najokropniejsze warunki — jeśli mu przyświecać będzie odrobina nadziei i gorące umiłowanie zrozumianej sprawy, jeśli stanie się wrogiem wszelkich prądów, dezorganizujących budowę patriotycznego militarizmu polskiego.

— — — — —
2-ga Brygada po rocznym istnieniu jest dziełem pod względem militarnym wszechstronnie wykończonym. W tym procesie doskonalenia się jej, ocalały wszystkie zalety polskiej bujnej natury, zostały wyteplone wady destrukcyjne.

Militaryzm polski w niej odniósł pełne zwycięstwo.

Maryan Żegota-Januszajtis.

LEGENDA DRUGIEJ BRYGADY.

Idzie w świat, szeroką drogą polską, żołnierska legenda drugiej Brygady.

Idzie rażno w szarym płaszczu żołnierskim — zarzuconym na ramiona, — w szarej czapie rogatej, w ciężkich butach — żelaziwem nabijanych, wędrownym pyłem okryta, niezmeńczona, życiem tchnąca, chociaż wiele dróg i ścieżek przeszła, — nim się na drodze polskiej, szerokiej znalazła, w złotym słońcu łęgów wiślanych skąpała, poszumem i gwarem cudnym łąnów kłosnych rozmarzyła...



Krzyż Legionów na granicy bessarańskiej, postawiony przez 3. pułk.

Tuż na skraju wymarzonej ziemi ojczyściej — pobok krzyża strzaskanego granatem — oplotło ją słońce zawieją złocistą, ludzie dobrzy kwieciami pełnym szary jej mundur przybrali, — — dalszą drogę wskazali...

I oto idzie w świat, szeroką drogą polską, żołnierska legenda drugiej Brygady serca polskie zdobywać...

Narodziła się jesienią, kiedy się krwią zlewać jąły świeżo zżęte ścierniska — a zaś słońce złote mgłą jakowąś powlekać... kiedy wiara w pierwszej męce łamała się i gięła, a w duszach ludzkich dla wyruszających w obcy świat synów już nie słowa mocne, a lzy ciche błogosławieństw były jeno.

Ze wspomnień tych spłotło się pierwsze ogniwo legendy...

Włokła się teraz szlakiem tułaczym po zaśnieżonych szczytach karpaccich, po lasach smreczanych, gnących się pod płachtami lśnięciami śniegu, we mgłach, szarpana wichrem i tęsknotą — aż stanęła na smutnych mołotkowskich polach... Słaba i wiotka — jako ów kwiat — co w dniu dżdżyste kielich do życia rozchyła — skąpała się pod płachtami lśnięciami śniegu, we mgłach, szarpana w kurzawie pękających granatów, nakarmiła się krzykiem bólu i męką kłęski...

Z pojęciem cichym poszła znowu w góry zimne — rany lecząc krwawiące okrutnie — młode loty złamane prostować, żal w tęsknoty, a tęsknoty w moc niezłomną w ogniu męki przekuwać...

Szedł dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu...

Legenda żyła...

Brała w siebie i to słońce złote, co się w kaskady tęczy stapiało na śniegu białym, lśnięcym, i ten chłód, co od

nagich szedł gór, i tę moc, co od wichru chodzącego szczytami wieje... I poczęła rozrastać się i olbrzymieć...

Od wtulonej w smreczane lasy doliny Rafajłowskiej, poprzez dumne szczyty Siwuli i Popadyi, jąła się przelewać i rozrastać aż po głązy zimne skalistego Wyszkowa, aż po barwną huculską Sokolówkę i Jaworowo. Miała w sobie już wówczas moc trwania...

Aż ku wiosnie moc w niej jąła zwierzać się przedziwna, prężnieć, rozpierać ją... i zwała się oto, wraz z pierwszymi potokami górskimi, w zatopione w słońcu złotem równiny...

Było w niej wówczas coś z potoku, coś z jego siły niepowstrzymanej, gdy szła dwoma szlakami w śniegu po pas, w mrozie lutym, poprzez wały i pnie zbutwiałe i leśne zasieki — upominać się o swe prawa do życia, groby zeszlenczone swoje w swoje posiadanie obejmować...

Stawali ludzie na przyzbach chat zdziwieni, ręką oczy przesłaniając — taki od niej bił blask okrutny tego słońca górskiego i tej mocy, którą w sobie miała, — gdy szła przed się roztopami wiosennymi zniszczoną drogą...

„...Żali upiór z zeszlenczonych wstał grobów?...“ Nie! To szła żywa, tchnąca mocą legenda drugiej Brygady...

I poszła potem w rozszemrany bór bukowiński bratać się i wiązać nicią cudną dziejowych przeznaczeń z dawnymi echami, chodzącymi po lesie, ...w sinych falach Prutu krwi korale ronić, dań składać serdeczną rzecze rozgniewanej za tych, co przed wiekami z hetmańskiego uciekli orszaku.

W czerwcowym słońcu — jak burza — jak zawierucha świetna — w zamieci błyskawic i gromów potoczyła się cichą ziemią bułowińską w rozszemrany step bessarabski na kresy dawne witać jutrznię wschodzących dni...

I oto idzie szeroką drogą polską — po roku trudów i znojów — po roku szamotania się w tęsknocie — po stokroć we krwi skąpana ofiarnej — w szarym, zakurczonym płaszczu żołnierskim — w czapie szarej, rogatej, w łęgi cudne, wiślane serca polskie zdobywać, legenda żołnierska drugiej Brygady.

Józef E. Szarzyński.



„Dolce far niente“ na okopach.

Fot. Dr. Paulas.



Rys. Dr. Górski.

PULKOWNIK ZIELIŃSKI.

Nie można mówić o 2-giej Brygadzie, nie mówiąc o pułkowniku Zielińskim.

W długim pasmie wypadków i kolei 2-jej Brygady, od narodzin jej aż do dnia dzisiejszego — wśród trudów wojennych — wśród zwycięstw i ofiar krwawych, imię jego zrosło się z 2-gą Brygadą, jak zrasta się duma z czołem.

Pułkownik Zieliński! — Z drogiem tem imieniem ileż wiąże się wspomnień jego żołnierzyków!

Imię to wpaja w zmęczone serca otuchę — sieje radość i wiarę w zwycięstwo.

Pułkownik Zieliński! — Z imieniem tym związały 2-gą Brygadę i oplotły gałęzie laurów i skąpały w blaskach swych promienie sławy.

Sława imienia polskiego. Honor odgrzebanej ze

zgliszcz i życiu wróconej tradycji żołnierza polskiego, to blaskami brylantów jaśniejąca pochodnia, na której straży stoi ta świetna postać legionowa.

Za to, że wśród cierniowych rozdroży górskich i narodowych, żarem swego prostego, żołnierskiego, gorącego serca rozgrzewał nasze serca — obok surowości wodza okazywał nam miłość ojcowską — przyjacielskim podpierał ramieniem

— Kocha Go 2-ga Brygada.

Za to, że wśród znojów, przez krew i groby, budząc wciąż honor polskiego oręza wiódł nas szlakami wyższymi ku sławie i zwycięstwu, że wszczepił w duszę swych żołnierzy niepohamowaną, bezgraniczną moc wytrwania —

— Czei Go 2-ga Brygada —

O tem niech wie Polska!

M.—Ż.—J.

Z NOTATNIKA II. BRYGADY.

Z BOJÓW ULANA. (Fragment).

Ladny to kraj ta Bukowina! Od skalistych zrębów Karpat, poprzez pagórki lesiste Seletyna, przez Berhometckie równiny idzie ten barwny szmat ziemi do doliny Prutu, przejdzie ją, aż za lasami Czarniawki i Sadogóry, rozprzestrzeni się falistym, widnokreżnym stepem.

Jakieś, niby włoskie niebo zawisło nad tym krajem, jakaś dziwnie ciemna zieleń bije z kukurudzianych pól i dębowych lasów, jakoś bielszemi wydają się w jej otoczeniu ściany rumuńskich domostw, jakoś wyżej, bujniej — inaczej jak u nas — rozrosły się kolczaste osty i dumne bodiaki.

Lud tam zamieszkały, z pięciu narodów złożony, kilimami zdobi wnętrza domostw, a karbowanym fryzmem znaczą okapy dachów.

Choć barwną jest Kirlibaba, malowniczym Kimpolung — najbardziej włoskim niebem, najciemniejszą zielenią roślin i najbardziej kraśnemi „soroczkami“ dziewcząt ozdobiła się dolina Prutu.

Gdyby tak szwoleżera napoleońskiego z grobu móc powołać i na podjazd tu go wysłać, toby się chwilę zadumał: „Taką soczystą zieleń, takie spalone słońcem lica dziewczyn, widział on już kiedyś — było to w Lombardyi“.

Dywizyon polskich ułanów jechał doliną Prutu dnia 9 czerwca. Skwarny, złocisty słońcem dzień uciszył kukurudziane lany, uspokoił liście starych dębów. Osowiałe gorącem, patrzyły gliniaste zręby Strzeleckiego kąła w mętne wody Prutu. Po drugiej jego stronie cerkiew w Hlinicy biła w przestrzeń silną, lśniąca białością ścian.

Po polach uwijały się gromadki żniwiarzy w białych kożuchach. Jakoś gorączkowo, z pośpiechem zwożono żytnie snopy do stodół. Czerwcowy, żniwny, pracowity dzień.

Na pierwszy rzut mogłoby się zdawać, że to zwykły gospodarski czas się toczy.

Ale nagle, nad tym spokojnym krajobrazem pól zakwitł biały obłoczek. Grzmot, trzask mu towarzyszył, to pękł szrapnel. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Zakle-

kotał z boku karabin maszynowy, kilka strzałów od ręcznych z kukurudzy wypadło, a potem chwilka ciszy.



...Czerwcowy, żniwny, pracowity dzień... Brzegiem Prutu jechali ułani. Nie gromadą, bez brzęku szabel, bez rozgwarów rozmów. Dostali rozkaz przesunąć się niepostrzeżenie na prawe skrzydło legionowej brygady i nawiązać patrolami kontakt z grupą wojsk ciągnących przez most pod Czerniowcami.

Po jednym więc, co trzydzieści kroków sunęli łozinami nad brzegiem rzeki.

Od czasu do czasu wysunął się tylko na wydmnę piaszczystą niebiesko szary ułański kożuszek, lub zamigotała przez gąszcz zbyte dobrze wyczyszczona pochwa szabli, ale wnet to nikło, jeździec z koniem zanurzał się w zielonej gęstwinie, błysk stali zagasał. Tylko kręgi idące do rzeki i urywany chłupot wody dały znać, że ułani przejeżdżają w bród odnogi Prutu.

Dywizyon zebrał się dopiero w Łucku, tam stał chwilę przy strzelającej artylerii, jako jej osłona i ubezpieczenie, później ruszył do Łuzan a pod wieczór pokłusował do Nowych-Mamajesti. Patrole jego szły przez ten czas coraz dalej na wschód, szukając łączności, ostatecznie wyszły już w samotność po zachodzie słońca, w ciemną mglistą noc. Wróciły dopiero przed północą.



Ułani II. Brygady.

Łączność nawiązały i na tropy cofającego się nieprzyjaciela trafiły. Ale przywiezione meldunki nie brzmiały uspokajająco. Między grupą sąsiednią a brygadą Legionów powstała luka na 5 klm szeroka. W razie kontrataku nocnego front mógł być przelamany. Trzeba było przestrzeń tę zapłacić. Rotmistrz Wąsowicz przestudował mapę, a potem rozstawił 160 ułanów wzdłuż szosy i toru kolejowego na tym kilkukilometrowym odcinku. Dwunastu, najbardziej zmęczonych patrolami stanowiło „rezerwę“.

Żołnierz był zmęczony setnie, dwa dni już nie spał, a od wczesnego rana nic nie jadł. A teraz na odpoczynek czasu nie było. Przy tak rzadkiej obsadzie, każdy ułan musiał mieć oczy za trzech, a słuch za dziesięciu.

To tu — to tam padały strzały placówek. Nie mówiły one podsuwającym się patrolom kozackim ilu ich jest, ale wołały tylko w ciemną noc, a głośno: „jesteśmy“. I to wystarczyło. Nieprzyjaciel luki nie dostrzegł i ze sposobności rozdarcia frontu nie skorzystał. Rezerwa z 12 ułanów spać mogła spokojnie.

Pocziwa ta czerwona noc, trwała tak krótko. Wstając kręgiem słońce oświeciło oba brzegi Prutu i oba już nasze. Po trzech tygodniach, Prut znów przestał być granicą dwóch państw wojujących.

We mgle rannej wyjeżdżały patrole, pod słońce... na wschód...

Stanowisko, 30/IX 1915.

St. Rostworowski, chorąży kawaleryi.

PULK TRZECI.

Fundamentem pułku trzeciego stały się oddziały sformowane z nieobalanej jeszcze, do gruntu patriotycznej i zapalem bojowym przesiąkniętej młodzieży z tak haniebnie w owym czasie rozbitego Legionu wschodniego.



Warsztat szewski na pozycyi.

Osobny, pierwszy batalion sformowany został z górali podhalańskich, przyprowadzonych od Tatr przez porucznika Minkiewicza w liczbie około 600 ludzi i z kompanii śląskiej nad 300 głów liczącej. Był to nietylko wprawny już, ale i wytrwały — a w boju, jak się okazało później, tak nieustępliwy żołnierz, że stał się z czasem dumą pułku trzeciego i miano „żelaznej gwardyi“ sobie zdobył...

Batalion czwarty również sporą liczbę dawnych So-

kolów i Drużniaków miał w sobie, tak, że i on odrazu, gdy potrzeba się okazała, do boju był gotowym. Taki żołnierz, w takim składzie, a dodać należy, że i z wielkim animuszem, ruszył na Węgry, gdzie mu zaraz, po pięciu dniach podróży w bój iść przyszło.

I poszedł i bił się... Budowa drogi Legionów, walki początkowe: Pasieczna, Nadwórna, Mołotków — to rzeczy znane.

A potem przyszła obrona Rafajłowej, zrazu wspólnie z pułkiem drugim, wnet jednak, bo od końca listopada przez sam pułk trzeci prowadzona... Obrona, nieznana dotychczas należycie i niedoceniana — epizod ogromny, pełen grozy i uroku wojny, najpiękniejszy może z walk jakie Legionowi stoczyć przyszło...

Bo pomyśleć tylko: Cały kraj, cała Galicja wschodnia i spora zachodniej części inwazyją moskiewską zalana, Przemyśl obleżony, Tarnów wzięty, w Krakowie huk dział oblężniczych czem raz bliższy, w Węgry północne wsączają się zwolna a stale strumienie najeżdżcze. —

I w czasie takim, jedna tylko Rafajłowa, wieś górską, parę szczytów, teren kilkudziesięciu kilometrów — półtora tysiącem żołnierza — topniejącego w znojach i walkach — opiera się, broni, walczy do ostatka... Wokół wojna, w świetle całym twierdza za twierdzą pada, a Rafajłowa mimo powtarzające się a gwałtowne ataki trwa do końca... Kurczy się czasem jej teren, fala oblężnicza podplywa aż do podnóża i wraz odbita cofa się, jeno góry powtarzają echem wycie jej — echa strzałów bezsilne. Całe prawie Karpaty były już w rękę rosyjskiem, do Rafajłowej tylko nie mógł nigdy dojść najeżdźca i zatknąć na niej swego zwycięskiego sztandaru...

Tak ta warownia górską, te zwalce skał i gór garścią legionowego bronione żołnierza, stały się zwolna kluczem terenu i punktem wyjścia dla późniejszych operacji wojennych... I w tem leżało znaczenie Rafajłowej dla wojny, dla grupującej się za nią armii, mającej z wiosną wygnać precz z Karpat Moskali...

Dla nas zaś, dla pułku trzeciego najtwardszą była owa szkoła wojny i wspomnieniem na życie najpiękniejszym. Tu żołnierz żył, zrósł się niemal z wodzem, tu armijka ta mała w rodzinę zmieniła się wielką, ofiarności pełną, i poświęceń za wielkich nieznającą... W głodzie, bo bywał głód czasem, w mrozie, wśród chorób i niedostatku wszelkiego — utrwaliło się to wielkie bractwo wojenne, bractwo rafajłowczyków, pułku trzeciego. Tu oficer stał się żołnierzowi bratem, tu wódz nasz pułkownik Haller ojcem stał się wszystkim... I tu szkoła była wojenna: gładzili się kanty i nierówności, rosło poczucie o dostojństwie, o misji żołnierza legionowego jak kryształ górski czysty a jasny.

Tem wszystkim była dla nas Rafajłowa — w której żołnierz do reszty wydoskonalił swe zalety bojowe; oficer na wodza niemal każdy wyrósł w polu i w długich owych wieczornych rozmowach... Tu, obok Hallera, wódzowie wyrosli nowi. Tu Minkiewicz, po nim, w mroczach, w walkach bez wytchnienia — acz jeden z najmłodszych rangą oficerów — następstwo po nim i dostojństwo, komendę pułku trzeciego, podpułkownikostwo sobie wyrąbał... Stąd Roja wyszedł, dziś pułku czwartego komendant...

Rafajłowczycy! To my, to pułk trzeci...

A kiedy z Rafajłowej, w pościg za wrogiem iść trzeba było — pułk poszedł i w lutym, sześciodniowy stoczył bój pod Maksymcem, a potem dalej szedł i bił się, i walczył — i bije się po dzień dzisiejszy, nie ustępując nigdy, a na rozkaz chyba wyższy; dwa razy zapuszczając



Podpułk. Henryk Minkiewicz, komendant 3. pułku Leg. polsk.

już zagony w kraj wroga; teraz zaś od miesięcy trwając na pozycyi i nad słuchując niecierpliwie, rychło też naprzód pójść będzie trzeba...

Takim jest, takim w przeciągu roku od wymarszu stał się pułk trzeci, w Legionie karpackiej Brygadzie: Rafajłowczycy!

W. Mondalski.

PATROL ARTYLERYJSKI.

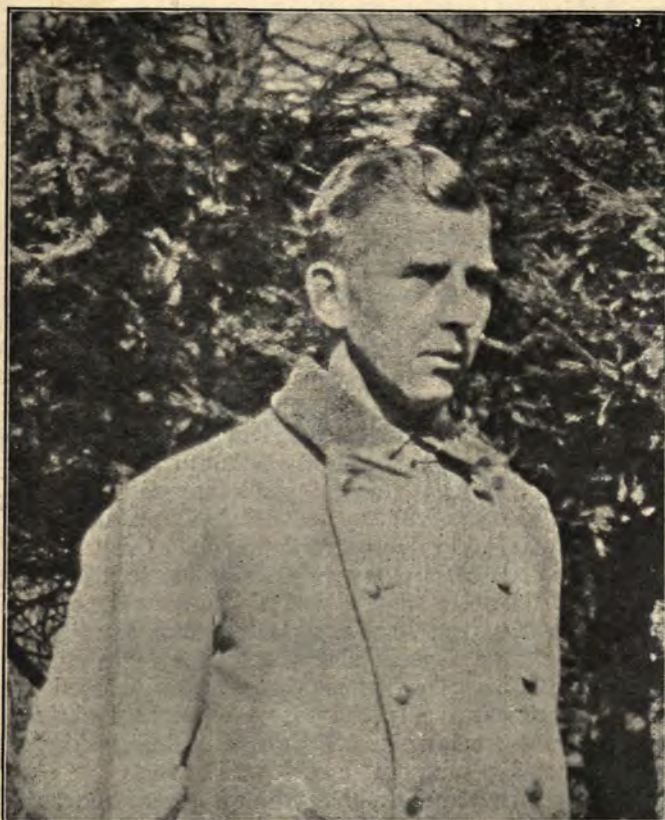
Był początek miesiąca suchotników i wszelakiego rodzaju zdechlactwa. Rozpoczął się niezwykle zimnem, zapożyczając śnieżnej szaty od swego srogiego poprzednika. Wichry przejmujące hulały po śnieżnych polach przydniestrzańskich. Trochę się uśmiechnęło niebo w początkach miesiąca, ażeby później zakryć oblicze na długi czas i sypać z ciężkich, ołowianych chmur, lepkiem, marcowym śniegiem. Zatulaliśmy resztki ciepła kożuszkami i maszerowaliśmy „według rozkazu“ na kole 304. Była to Lysa góra. Stwierdziła w zupełności swoją nazwę — dmuchały wiecznie wiedzmy kudłate zimnym i przenikliwym oddechem.

Zajmujemy pozycję. Linia tyralierska piechoty 2-go pułku o kilka kroków przed nami. Z obserwatorium na szczycie góry widok bajeczny: cała dolina aż po wzgórze Tlumacza, przecięta niskim pasmem wzgórz w pośrodku, otwiera się przed nami białym, nieskala-

nym kołobierzem śniegu. Na froncie spokój, przerywany niekiedy pojedynczymi strzałami karabinowymi. Artyleria rosyjska, widocznie szanując nasze zziębnięte osoby, nie puszcza na nas swoich, jak się wyraża celowniczy Szymek Rolnik, „dzińdziółków“. Pilnie jednak obserwujemy ruchy nieprzyjacielskiej kawalerii, w odległości o trzy kilometry od nas wiosce, Korolówce. Zauważamy, że powoli, lecz stale ilość jeźdźców wzrasta. Austriacki mój kolega stara się temu zapobiedz, posyłając świeżo przybywającym halaśliwe „prezenty“. Lekarstwo, acz doskonale stosowane, nie pomaga. „Melduję więc posłusznie“ majorowi Januszajtisowi, o spstrzeżonym łacnie, nadmieniając, że kozaków zebrała się już spora kupa, mniej więcej do trzech sotni. Zamyślił się młody major. „Nie chcą oni do nas, to my do nich“ — mówi. Wytrzeszczyłem oczy. — Jak to atak?! — „E — nie, tylko taka awantura. Weźmiesz pan swoje armaty na konie i jazda naprzód“. Jeszcze więcej zdumiony, odchodzę do swoich i powiadamiam ich o rozkazie. Chłopcy spojrzeli po sobie. Oczy im się roześmiały do nieznaney wyprawy. Wiedzą, że idą przed tyralierę, trochę się boją o armatki, lecz widząc majora i dziesięciu „piechociarzy“ jako osłonę, w mig załadowali armaty. Rolnik skonstatował, że „mama nie wojna“ i zastrzegając się kategorycznie przed figlami i wyścigami artylerii rosyjskiej, zebrał obsługę swojej armaty; celownicowi Nowak i Słoniewski powyciągali swoje „numera“ z rowów. Plutonowy, a obecnie chorąży Dr Mańkowski, wydłużył jeszcze znacznie swoją postać i zameldował: „Trzy armaty gotowe“. Zostawiamy obmarzniętego chor. Mazurkiewicza i inwalidę plutonowego (dziś chorążego) Procznera, na gospodarstwie i idziemy. Minęliśmy linię tyralierską, drogą pod górę dochodzimy do ostatnich naszych patroli, oddalonych od Korolówki o 1200 m. Kryjemy za górką



Wiktor Gosiewski, komendant 2. baterii.



Ks. Wład. Antosz, kapelan 2. pułku.

konie, armaty za „ogony“ i jazda na górę. Wioska jak na dłoni... Golem okiem widać pojedynczych kozaków... Na końcu wsi lasek... „Mama“ pierwszy — Cel: pomiędzy dwa czerwone dachy, odległość 1200, jeden strzał... Ognia! — Trzask, jakby łamanego pnia, gwizd wysoki, zjadliwy i... cisza. Granat zarył się w śnieg — nie wybuchł. — W chałupę z czerwonym dachem, odległość tasama. Ognia! — Znowu trzask i błysk i wybuch po tamtej stronie. Ze wszystkich chałup sypie się mrowie konnych i pieszych. Bez komendy już zaczyna się strzelanina. Kozacy na koniach i bez koni biegają, jak waryaci, nie orientując się skąd ogień i co oznacza. Armatki grzechoczą coraz prędzej... Na śniegu pojawiają się nieruchome czarne plamy. Ktoś krzyknął: celownik złamany! Zamienić! Szybki ogień!... Już tylko dwa trzaski. Nieprzyjaciół zaczyna porządkować oddziały w lasku.

Komenda: celownik o 200 więcej... — cel lasek. Znowu beładne kupy koni z jeźdźcami, bez jeźdźców, coraz więcej plam ciemnych na śniegu. Z za lasku wysuwa się długi, czarny wąż — piechota! Ognia w nich!

Chłopcy jak maszyny, błyskawicznie ładują, strzelają, aż ogłuchli od huków. Kolumna stanęła... Granaty ryją w niej drogi i szczyrby.

Zamieszanie...

Nagle słychać przeciągły, dźwięczny huk i gwizd nad nami, dymek nad laskiem. To kolega artylerzysta, wysłał na uciekających kozaków i rozsypującą się piechotę, różowo-białe dymki szrapneli. Armaty moje biją coraz rzadziej: nie widać celów. Po chwili milkną zupełnie.

Patrol wysłany do wsi, skonstatował zupełnie oczyszczenie jej z Moskali.

Tak skończył się patrol artyleryjski.

Wiktor Gosiewski.

KARTA WOJSKOWA (do ryciny).

Stał na placówce i wypatrywał wroga w jarze bes-sarabskim. Dokoła brzęczały kule jak uprzykrzone osy Hej, czyż to nowina? Któżby sobie co z tego robił? Wtem — pociemniało mu w oczach — runął w okop... z przestrzelonym stołem pacierzowym.

Nazajutrz ułożono go na słomie i stępa konie prowadząc, odwieziono do szpitala.

Umarł, nie odzyskawszy przytomności...

W szpitalu znaleziono przy nim dokument rozpoznawczy, kartę wojskową. Sam sobie ją napisał, sam na świstku papieru, wyrwanego z notesika, skomponował. „Niech żywi nie tracą nadziei!“ — wypisał pod datą wojny światowej, niejako jako syntezę uczuć, władających tym żołnierzkiem. A poniżej, po obu stronach nalepki wydanej przez T. S. L. na dzień 3. maja, wyrysował, przykucnięty w ziemiance, na skrzynce od naboju, w półmroku, panującym w norze — dwa orły polskie. A potem dopiero wypisał swe imię i nazwisko, daty urodzenia, zamieszkania.

W dziewiętnastym roku życia zginął...

Powstaje obecnie moc kunsztownych malunków. Fantazyja twórcza plawi się wprost w nadmiarze tematów i motywów, jakich dostarcza wojna.

Ale zaprawdę! Karta wojskowa legionisty Stanisława Suskiego, przezeń skomponowana i wyrysowana — jest motywowem pięknym i — drogocennym...

Bertold Merwin.



O SŁUŻBIE SANITARNEJ.

Poza lekarzami batalionowymi i pułkowymi wyruszył rok temu na Węgry większy oddział lekarzy, sanitaryuszy i sanitaryuszek, z którego został zorganizowany t. zw. ruchomy lazaret polowy. Lekarzem sztabowym był dr Rogalski, komendantem zaś lazaretu dr M. Staszewski.

Służba sanitarna naszej Brygady dość szybko wyrobiła się i funkcjonowała wcale nieźle.

Już w drodze w Kiralyhaza, gdzie oddziały zatrzymywały się przez pewien czas, dr Barth założył mały szpitalik, który w połowie października został przeniesiony do Dombo, gdzie rozwinął się w szpital większy, na stokilkadziesiąt osób. Szpital ten z przerwami i ze zmianami personelu lekarskiego pozostał tam aż do połowy marca.

W drugiej połowie października, gdy oddziały nasze wyruszyły przez Karpaty do Galicji, większa część lazaretu polowego przeniosła się tam również, a w bitwie pod Mołotkowem pełniła funkcję placu opatrunkowego. Ten ruch wojsk naszych poza Karpaty spowodował utworzenie kolosalnie długiej linii etapowej dla przewożenia rannych i chorych. Nadworna, Pasieczna, Rafajłowa, Holzschlachthaus, Königsfeld, Dombo i Taraczköz — oto miejscowości, gdzie lekarze nasi pełnili służbę, niosąc pomoc nie tylko legionistom, ale i żołnierzom innych oddziałów, a także i ludności cywilnej, pozbawionej w zupełności lekarzy.

Pamiętną dla wszystkich pozostanie noc 29. października, gdy po bitwie pod Mołotkowem przeszło przez lazaret polowy około 400 rannych legionistów i około 100 żołnierzy austriackich, a następnego dnia odwrót i transport tych rannych do Rafajłowej. Tam zaś kilka dni bez chwili odpoczynku i dalszy transport poprzez Karpaty „drogą Legionów“ do Holzschlachthausu.

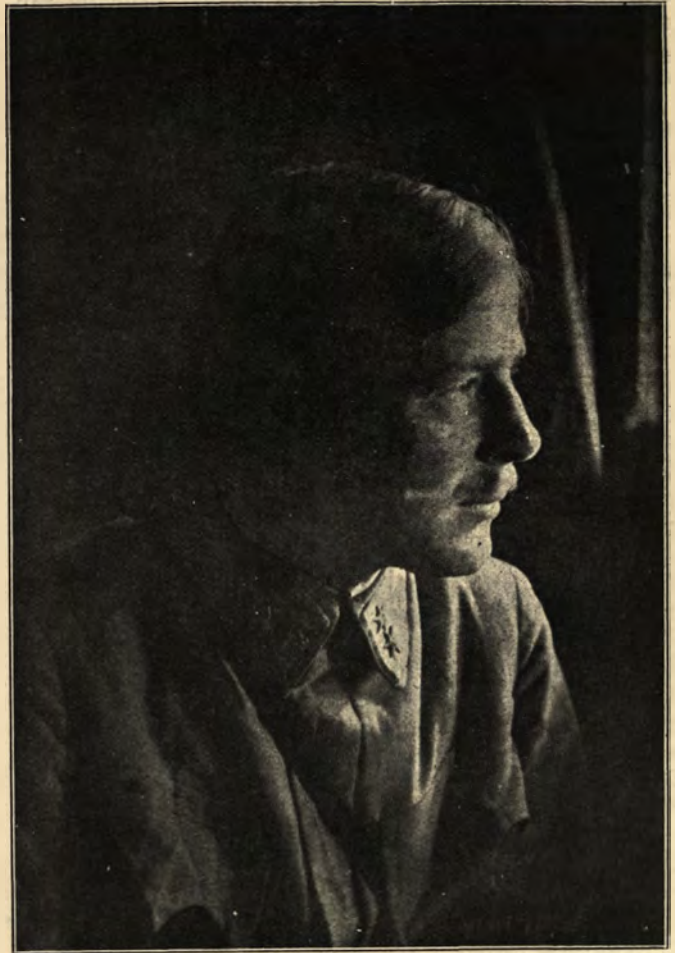
Przez listopad główna część lazaretu polowego została w Dombo. Szpital, urządony w kilku budynkach szkolnych, przedstawiał się wcale dobrze. Posiadał on oddział chirurgiczny, wewnętrzny, zakaźny, łaźnię i izbę dla lekko chorych.

Tam też, dzięki miesięcznemu prawie postojowi, został dopiero zaprowadzony pewien ład organizacyjny, a aptekarze nasi Tarkowski i Kozłowski doprowadzili do porządku cały materiał opatrunkowy i urządzili aptekę, w której mogli wykonywać prawie wszystkie potrzebne lekarstwa.

Największe zasługi w urządzeniu i prowadzeniu tego szpitala położyli dr Stefanowski, dr Witoszyńska, dr Zieliński i med. Rudke.

Część 2-ej Brygady, pozostająca pod komendą pułownika Hallera, usadowiwszy się w Rafajłowej, stanowiła niezłomną zaporę dla Moskali. W tej małej wiosce, odgródzonej od świata zasypanymi śniegiem górami, i służba sanitarna zarówno w leczeniu, jak i w transportowaniu chorych i rannych, miała kolosalne trudności. Dzięki jednak niezmordowanej energii dr Lotha i dr Grossa i doświadczeniu lekarskiemu dr Majewskiego, trudności te zostały pokonane i szpital założony w tej wiosce istniał przez kilka miesięcy. Służył on jednak do krótkiego tylko przetrzymywania chorych i rannych, którzy potem, w strasznych niekiedy warunkach, musieli być odtransportowani dalej przez góry, choćby z ciągłej obawy napadu Moskali i przełamania bliskiej bardzo linii obronnej.

Poza wzmiankowanymi oddziałami naszych szpitali były zakładane na Węgrzech t. zw. stacje dla chorych, gdzie przebywali legionieści, potrzebujący tylko odpo-



Pułkownik Marian Żegota Januszajtis.

czynku. Brustura, Königsfeld i Bustyahaza — oto miejsca pobytu naszych stacji dla chorych.

W czasie reorganizacji naszej Brygady w Kołomyi, lazaret polowy został podzielony na dwie brygady sanitarne, każda z dwoma lekarzami; jedna z nich pozostała nadal przy II. Brygadzie, druga wraz z komendą Legionu przeniosła się do Królestwa. Szefem sanitarnym II. Brygady został wtedy dr Lörincz, przydzielony do nas przez komendę armii. Z pochodzenia Węgier, przybył do nas nie umiejąc ani słówka po polsku, lecz przez te kilka miesięcy pobytu wśród nas, nauczył się już o tyle władać naszym językiem, że w najprostszyc rzeczach lekarskich może się porozumiewać z żołnierzami.

Działalność brygady sanitarnej jest znacznie więcej ograniczoną, niż lazaretu polowego.

Brygada postępuje zawsze bezpośrednio za linią bojową w odległości kilku kilometrów i służy jako stacja opatrunkowo-transportowa, tj. lekarze poprawiają tam opatrunki, robione wprost na linii bojowej i zajmują się odsyłaniem rannych lub chorych do najbliższych szpitali. Komendę brygady sanitarnej objął dr Stefanowski, który swym niezrównanym wprost poświęceniem, pracą i pieczołowitością, zasługuje na specjalne wyróżnienie. Pod jego to komendą brygada sanitarna funkcjonowała zawsze wzorowo i niczem nie ustępowała podobnym organizacjom armii regularnej. Jedynie brak nam dużych wozów na resorach, t. zw. „Blessierten Wagen“, których jednak pomimo usilnych starań nie można otrzymać. Brak ten osobliwie dawał się we znaki w czasie

ofensywy bukowińskiej w czerwcu, gdy brygada musiała przetransportować przeszło trzystu rannych w ciągu kilku dni. Na pozycjach obecnych, brygada sanitarna utrzymuje tylko izbę dla lekko chorych.

Służba lekarzy frontowych t. j. batalionowych i pułkowych była znacznie więcej uciążliwą, niż lekarzy brygady, gdyż z natury rzeczy ponosili oni te same niewygody i trudy, co i oficerowie liniowi, to też z całkowitem uznaniem należy podnieść zasługi takich ludzi, jak doktorzy Wojczyński, Rudzki, Majewski i Barth, którzy pomimo swego wieku, powyżej czterdziestu lat, zawsze z całkowitem oddaniem się pełnili tę ciężką służbę.

Nasi lekarze frontowi, dzięki osobistej odwadze i obowiązkowości byli zawsze prawie w linii bojowej, tak, że narażali się oni wielokrotnie na ostrzeliwanie, a niektórzy z nich opłacili swe poczucie obowiązku ranami, jak dr Matczyński i med. Andahazy, lub nawet śmiercią, jak chorąży Talapka, który padł zabity szrapnelem, wtedy, gdy opatrywał rannego.

Wśród sanitaryuszy liniowych mamy w II. Brygadzie wielu bardzo dzielnych i obowiązkowych ludzi, to też i straty ich są dość znaczne. Jedni, jak Sufczyński, Kurpiel, Adamski, Popko i inni odnieśli rany; Kurek i Grylewski zabici, ostatni jednocześnie z chorążym Talapką, inni jeszcze jak Müller, Pogoda, Rychter wraz z całą patrolą zbierając rannych, zostali zabrani do niewoli. Niebrak między nimi i ludzi, w których żyłka żołnierska brała górę nad obowiązkami sanitaryusza. Kurpiel naprzykład wraz z Antosiem Januszajtisem pod strzałami nieprzyjacielskimi zagwoździł armatę; Stelmach pod Ökörmezö przyniósł pozostawiony w odwrocie przez żołnierzy austriackich karabin maszynowy; medyk Serwacki, wzięty do niewoli w lutym, uciekł Moskałom z drogi i od dwóch miesięcy znajduje się znowu w linii. Należy także podnieść fakt, zasługujący na wyróżnienie, jak to nasi sanitaryusze w maju wraz z kilku lekarzami przepływali w nocy przez Prut, aby korzystając z ciemności, tuż z pod placówek rosyjskich pozbierać pozostawionych w czasie odwrotu rannych

W służbie sanitarnej frontowej mamy też i sanitaryuszy, z których trzy pod męskim nazwiskiem służą w 2-gim pułku, jedna w trzecim. Dwie z nich służą już od początku prawie w II. Brygadzie, jedna od kwietnia, a czwarta dopiero od dwóch miesięcy i już była ranna. Kobiety te odznaczają się dużą odwagą i poświęceniem i otrzymały też medale waleczności.



„Kwatera” lekarzy lazaretu polowego.

Rok więc minął od czasu naszego wyruszenia w pole; wyruszyliśmy nie tylko zupełnie nieprzygotowani, ale i nie zdając sobie dokładnie sprawy z pracy, jaka nas czeka. Dziś nabraliśmy doświadczenia i stoimy na równi z oddziałami analogicznymi regularnej armii, brak zaś szablonu, duże poczucie obowiązku i umiłowanie sprawy legionowej, uczyniło z naszych lekarzy prawdziwych opiekunów zdrowia naszych za młodych i często słabowitych żołnierzy, z których tylko wielkie umiłowanie wolności mogło uczynić takich bohaterów.

30/IX 1915.

Dr M. Konopacki.

POZDROWIENIE I. BRYGADZIE LEGIONÓW POLSKICH.

Przez trudów trud, przez mękę, znój,
Przez konających milknące rżenie,
Brac wierna Ci, idąca w bój
Braterskie śle pozdrowienie.

Przez żary lun, przez wspólny znak:
To jedno nasze wielkie, święte Śnienie;
Przez szabel błysk, przez krwawy szlak
Braterskie ślem pozdrowienie.

Przez gromy dział, przez armat huk,
Poprzez poległych naszych drogich cienie,
Z dalekich stron, z nieznanych dróg
Braterskie ślem pozdrowienie.

Stanowisko II. Brygady Legionów polskich, we wrześniu 1915 r.

Maryan Dunin-Majewski.



Lekarze II. Brygady.

i zabitych. Nic więc dziwnego, że wobec tego większość naszych sanitaryuszy jest ozdobiona medalem waleczności.

NEMO: Z DNI GROZY.

...Czyż nie wiesz, że muszę razem z nimi spełnić wielką, krwawą oliarę? Ileż razy mówiliśmy o tem. Pamiętasz, jakim zachwytem były nasze serca, gdyśmy rozpamiętywali ową tajemniczą drogę którą stąpa na małą swą Golgotę człowiek zwyczajny. Nie utrudniaj mi, nie utrudniaj sobie przez żal, który ciąży jak łańcuch, tej drogi. Kochana... myśl, ale nie płacz. Pamiętaj, że każda łza twoja jest z ołowiu. Nie dam rady... Pamiętaj...

Przycisnęła konwulsyjnie do ust pomięte kartki, z których lży pozmywały słowa, i trzęsła się cała od rozpaczliwego szlochu. Drżała jak drzewo, w które tnie siekiera od spodu, i jak jego korona chyliła się jasna głowa coraz niżej. Na koniec spoczęła na rękach, a snop włosów zwisnął na dół.

Zaraz zobaczyło to słońce, przedzierające się poprzez gałęzie drzewa i poczęło je muskać, pieścić, malować na kolor miedziany.

— Nie da rady, nie da rady — myślała. Widziała, jak z krzyżem na ramieniu stąpa kędyś w górę, a ciężki łańcuch wlecze się za nim. Wszystko co pisał teraz staowało się obrazem, nabierało bytu rzeczywistego, żyła pośród urojenia, jak inni żyją w pokoju, pomiędzy znanymi sobie zdawna sprzętami.

Nareszcie poczła zaczęła niedomagać... potem urwało się wszystko i nakoniec — przyszło zło, które przyjsć miało.

Pozostały te kartki pomięte, oplakane, tyle razy całowane.

I strach okropny, kilka razy teraz przez dzień zaglądaający w oczy strach.

Budynek szkolny, napół rozwalony był pociskami. Mieściła się w jednej izbie, którą dla niej wyreperował Jacek, głupkowaty, syn wójta. Tam stało jej łóżko i tapczan kilkoletniego Adasia.

Ileż razy, gdy patrole kozackie przechodziły przez wieś, myślała:

Teraz przyjdzie najgorsze. I myśl ta zamrażała w niej krew.

Jeszcze wczoraj tak myślała... ale poszli.

I cóżby mogła przeciwstawić dzikości ich, straszliwemu, zwierzęcemu pożądaniu... co? Lży, rozpacz... i co? Listy jego...

Ach prawda, Jacek.

Siedziała na ławce pod szkołą. Nad nią widniał ciemny prostokąt otwartego okna, we włosach jej igrały promienie słońca. Z ogrodu zarosłego wysokimi chwastami dochodziły nierówne, słabe uderzenia motyki i chwiały się wiechy pokrzyw i czerwonej kukurudzy. To Adaś kopał wśród zielska szańce. Horyzont zamykały wysoko sterczące kominy chat nieistniejących, podobne do jakichś fabryk, gdzie dziwotwory zawzięcie po nocach produkują smutek i ośpienie.

Siedziała teraz cicha, aż nadto cicha. Wydawała się skamieniałą.

Nad jej głową poczęły się unosić roje komarów, rozpoczynające taniec wieczorny. Nie widziała przed sobą nic, o co by zaczepić myśli, smutek nawet. Zapadło się wszystko, gdzieś daleko, skonało, a ostatnim przejawem życia był dla niej ten list. Była pewna, że wlokąc się u ciężkiego łańcucha za nim, wstępującym na straszna górę, kędy tyłu idzie nieświadomie, łatwo, ze śpiewką, pobrzękując ostrogami — za nim, który uginał się pod przeraźnie ciężkim krzyżem samowiedzy — przyczyniła

mu taką moc bolesnego trudu, iż upaść musiał. Tak, czy inaczej... upadł, to nie ulega wątpliwości.

I oto jest teraz gdzieś, daleko tak inny, tak do siebie, do dawnego siebie niepodobny, jak trup do żywego człowieka. Ujrzała wyraźnie zmieniony wyraz jego, nie twarzy, ale wprost duszy. Zobaczyła to, co widzą jeno ci, którzy kochają. Ale w chwili takiej jawy strasznej, z otchłani miłości, która łączy wszystkie sprzeczności, albowiem z niej wyrósł świat cały, jak kłos z czarnej gleby — wynurzyła się nadzieja, że raczej musiał poledz... że nie żyje. Straszna pociecha. Któż może wiedzieć co pociesza. Dzwon pogrzebowy miewa czasem brzmienie marszu tryumfalnego... Nie, nie... Gdzież na miły Bóg wiedzie myśl wśród sięgającego opuszczenia. W takim strachu codziennym zachodzi się w ostępy, nie przecięte żadną ścieżyną i błądzi się boleśnie, a bez celu.

— I bez cóż to paniusia tak dumają? He, he, he...

Zerwała się, jakby biczem smagnięta.

Uczuła na ramionach ręce. Z okna zwieszała się wielka głowa Jacka. Oczy jego świeciły jak węgle, usta otwarły się w idyotycznym uśmiechu.

Zawirowało jej w głowie, uczuła straszny ból. Na ustach miała wyrazy piorunujące, a w myśli świadomość, że... to wszystko na nic, że to walka z bydlęciem, nie opór człowiekowi stawiany.

Jacek stropił się jej odruchem, przeto wyprostował się w oknie i powiedział:

— Z miasta nic nie przyniosłem... nie było. Tylko z domu od siebie. Stoi na stole. I odszedł.

Na głos zasłyszany wylazł z pośród badyli Adaś. Spocony był, czerwony. Włókł za sobą długą, ciężką motykę. Stał, upuścił narzędzie na ziemię i rzekł z przekonaniem:

— Nie warto tu kopać w ogrodzie. Tu nie przyjdą.

— Kto...? — spytała pomieszana, nie mogąc dotąd otrząsnąć z ramion okropnego dotknięcia.

Chłopiec popatrzył na matkę ze zdziwieniem.

— Któżby... oni przecież.

— Możebyś...

Strasznie było dla niej teraz wymówić to słowo. Przecież w ogołoconej, pustej zupełnie wsi, była zdana na łaskę wójta, który skryty w piwnicy, siadywał czasem po kilka dni, ale nie uszedł i pilnował swego.

Ale sam on gonil ostatekami.

W mieście pobliskiej panował głód. Żywność przemycal tedy z domu ojca Jacek — cichcem — to znaczy poprostu — kradł dla niej... wiedziała, czuła to...

— Dawaj matka kawałek chleba! — powiedział Adaś stanowczym głosem. Nie mam czasu, idę kopać szańce nad wodą, koło Sierzeja... tam będziemy się bronić.

Nie było rady. Weszła do izby. Na białym stole stał koszyk wyladowany porządnie. Z drzeniem nerwowem sięgnęła doń i nie bardzo wiedząc co ma w rękę, podała chłopcu.

— Ależ ja chcę chleba! — powiedział Adaś.

— Tak... tak... zaraz dostaniesz dziecinko.

Oprzytomniwszy, ukroiła kawałek chleba, położyła na wierzchu plątek słoniny i dała chłopcu, który nie czekając, wyszedł.

— Wróć wcześniej... Adaś, słyszysz... Adaś!

Nie było odpowiedzi. Ale nie bała się o dziecko. Adaś znalazł już nieproszonych gości i nie wiele sobie z nich robił. Sypał przeciw nim szańce, a mimo to często przynosił dary, którymi go, jak mówił, chcieli „przekupić“.

Stała bezwładnie przy stole długą chwilę. Nagle za-
błysło jej w myśli:

— Tak... czy inaczej... upadł... to nie ulega kwestyi.

I odrazu spostrzegła całą treść tego powiedzenia. Nie
znała jej dotąd. Poszedł jak bohater, a ona za nim po-
wlokła się jak męczennica. I szli oboje... ale oboju
stawało się, stawać musiało coraz to ciężej.

— Prawda... Czemuż ja tak rzuciłam się po dotknię-
ciu ręki Jacka?

— Wiedziała już teraz, jakie myśli mieściły się pod
progiem poznania i rażona tem odkryciem, oblała się
ciemnym rumieńcem.

Myśli te zaś, raz odważywszy się ukazać na powierz-
chni, zapanowały nad wszystkim. Mimowoli rozwarła
ramiona i stała tak oblana czerwonym zachodem, cudna
w aureoli jasnych włosów z falującą piersią.

— Adam... Adam!

Byłaby dała całą resztę życia, za jedną małą chwilę
szczęścia w jego objęciu.

A więc to siedzi w człowieku najmocniej, przemknęło
jej przez myśl. To jest owa kotwica, leżąca na dnie mor-
rza, u której rwie się okręt-człowiek. Inaczejby żeglował
w cudne dale, skąd dolatuje wołanie tęsknot za-
ziemskich.

Nie wiedziała czy żałować, że tak jest, czy podziwiać
tragizm ten ogromny, tragizm całych wieków; tych co
minęły i tych co nastąpić mają — czy może cieszyć, że
nareszcie sprawa ta niezmierna jasno przedstawiła jej
się dzisiaj. Wszakże on... człowiek-niewolnik kazał jej
cieszyć się każdą, na dnie własnego morza znaną
perłą poznania. „To nasza biblioteka“ — mawiał...
Prawda! Niedostatek nie pozwalał na książki, a pobyt
na bezludziu nie dopuszczał zacerpnięcia z cudzego do-
robku duchowego.

— Adam! Adam! -- wołało w niej.

Dusza przyzywała przyjaciela, powiernika, ciało, ko-
chanka.

Przez otwarte okno poczęły wlać do izby szare cie-
nie. Pełzały jak płądrujące kozactwo po wszystkich ką-
tach, wszystkiego dotykając zajmując każdy zakamarek.

— Adam!... Adam!

Jednocześnie zrazu niedosłyszalny, potem coraz bliż-
szy tupot konnicy począł płynąć z dworu.

Ale nie była na ziemi. Błądziła pomiędzy skarbami,
tam na dnie. Z plastycznością, jaką daje rzeczywistość,
widziała to, co dotąd gromadzili oboje, chowając aż tak
głęboko przed otoczeniem... straszem, okropnem oto-
czeniem, które jednak kazano kochać... dla którego oboje
przećierać pracowali w tej szkole wiejskiej od lat całych.

Tupot, charakterystyczny tupot kutych tylko na przed-
nie nogi koni kozackich przepłynął falą, przesunął
się blisko, potem odgłosy słabły... cichły... wreszcie
wszystko się gdzieś skłębiło, powikłało, zarżał koń, wy-
lacciał jakiś okrzyk i cisza nastąpiła.

Nie wiedziała co się dzieje. W ciemnej izbie stała za-
patrzona przed siebie i przeżywała całe lata owego ci-
chego życia o jednostajności strasznej, przynębiającej,
przebijającej tak do ziemi, jakgdyby czas stąpał realnie,
ciężkimi butami po kielkach tęsknot, bujających co
ranka i wtłaczał je w grunt. Życiem tem bez szkody,
strasznej, niepowetowanej żyćby nie można, gdyby nie
walka ciągła, czuwanie bezsenne nad sobą, gdyby nie
wykradanie czasowi-niszczycielowi małych chwil, gdy-
by nie wyszukiwanie zakamarków, czy zagłębień gruntu,
których straszliwe „sapochoy“ jego dotknąć nie mogą
i... to chowanie na dno, głęboko na dno, krycie u ko-
twicy życia, gdzieś na dnie serca, które silne jest, przy-

tępic się nie da, praw swych, praw suwerena nie prze-
pomni, ale... dobre jest i pobłażliwe.

Posłyszała spieszne kroki.

Głośny tupot nie miał tyle grozy i mocy budzenia,
co kroki te... szedł, biegł raczej Jacek. Wiedziała, że to
on, zanim przybył.

Chwyciła za klamkę i trzymała.

— Pani... paniii!

— Cotam... — ciągle trzymała klamkę.

— Niechże pani puści... Co pani jest... Pani!

— Mów Jacku... mów... tu nie można teraz.

— Jakto, nie można... Lecę... bo przyszli Czerkiesy...

— To nic... Jacku, Pan Bóg obroni.

— Słusznie... ale zawsze... przyszli Czerkiesy. Ja tu
będę spał. Mam siekiere.

— Nie... nie... Zostaw mi siekiere i idź do domu. Pro-
szę cię!

— Nie.

— Jacku... proszę cię bardzo — mówiła z płaczem
niemal.

— Pójdę po Adasia i wracam. Adaś dostał od nich
jakiegoś turskiego miodu. Powiem, że pani kazali
wracać.

— Dobrze, idź... niech zaraz wraca, ale ty jeśli chcesz
spać blisko, to pościel sobie w szopie u Macieja... Sły-
szysz?

Jacek nie odpowiedział, odszedł szybko. Nie wiedziała
nawet, czy doczekał, aż skończyła mówić.

Drżała na całym ciełe. Czuła się dzisiaj bardziej za-
niepokojoną. Rozpamiętywanie odjęło jej tę moc ducha
i żołnierskość z jaką stawiała dotąd czoło niebezpie-
czeństwu.

Po chwili jednak przyszła do siebie o tyle, że powzięć
mogła postanowienie. Tak... tak... najlepiej będzie, do
wójta — myślała, zapalając świecę.

Szybkimi ruchami kładła do koszyka z jedzeniem co
jeszcze mógł pomieścić rzeczy najniezbędniejszych. Aby
uzyskać miejsce, wyjęła i położyła na stole apetytny ka-
wał masła, zawinięty w liść kapuściany, wianek cebul
i inne drobiazgi.

Rzuciła okiem na obrazek wiszący nad łóżkiem i nie
przystając się krzątać, modliła się żarliwie, krótko, bez
szepotu nawet, myślą samą.

A jednocześnie trapiło ją, czy Adaś posłucha, czy po-
rzuci słodycze, które go znowu „przekupili“ oni.

Świeca miotała błyski nieprzyjemne. Płomień, tar-
gany przeciągiem, jaki wywołały jej ruchy i powiewem
od okna, słańiał się jakby ranny, a wraz z nim słańiały
się przedmioty, ściany, ona sama odbita w kolosalnych
rozmiarach na białych płaszczyznach izby.

Wreszcie posłyszała jakieś kroki.

— Doskonale, już idą. Teraz jeszcze szal i serdak dla
chłopca...

Kroki zbliżały się coraz bardziej. Nie ustawała w pracy.
Naraz uczuła, że coś patrzy na nią przez okno.

Spojrzała i krzyk zamarał jej na ustach.

Z czarnego tła wychyliła się ku niej twarz Czerkiesia,
o nosie jakby dziób orła, obwisłych cienkich wusach
i oczach rzucających błyski fosforyczne. Ogromna pa-
pacha zesunęła się na tył głowy. Wyszczerył w uśmie-
chu wilcze zęby i powiedział:

— Zdrawstwiajcie bariszna... Nuuu... nie boitsia!

A ona umarła już napoły, patrzyła bez ruchu, jak
przelazł przez okno i tylko zbladłymi wargami szeptała
bezwiednie:

— Jacek! Jacek!...

PRZEGLĄD.

Z LITERATURY WOJENNEJ.

Najpopularniejsza z niemieckich książek wojennych, Maxa Schelera: „Der Genius des Krieges und der deutsche Krieg“ (Leipzig 1915), próbuje przewidzieć, „jak wojna ta wejdzie w skład naszej świadomości i jakie wymusi zmiany w naszym obrazie o urządzeniu świata“. Jest to zadanie przedwczesne. Rzeczywistość powojenna, ona jedna potrafi trafnie rozwiązać to pytanie. Przytem problem sam postawiono w ten sposób, że obiecuje on dużo więcej, niż jest w stanie dotrzymać. Pragnie cały splątany chaos, który się przewala na krwawym bojuwisku Europy, powiązać w syllogizmy przyczyn i skutków, aby oddać je władztwu jedyne go sensu świata. Czytelnik od miesiący piętnastu ogląda ten makabryczny taniec upiorów z epoki pierwotnego człowieka, totemistyczny kult tabu i fetysza, bogów i bohaterów, które na lata całe objęły rząd dusz nad milionami istnień, wychowanych w zasadach braterstwa ludzi, narodów i religij; cóż dziwnego, że odnosi się już dzisiaj z szczerem niedowierzaniem do podobnych obietnic, które pod stosem rupieci ideowych chowają ten sam nieomal żelazny kapitał komunalów publicystycznych, jakimi karmią go od roku wstępne artykuły dziennikarskie i bohaterskie komunikaty sprawozdawców wojennych, przelewających krew pięćdziesiąt kilometrów za frontem. Tymczasowy bowiem patos frazeologii dziennikarskiej, kolportującej z zapalem godnym najgorszej sprawy wyświechtane komunały nienawiści, barbarzyństwa, rewanzu czy wiarołomstwa, staje się zgola trudnym do zniesienia, ilekroć z natrętną efronterą gospodarzyć poczyna w najistotniejszych sprawach sumienia, wzburzonego do cna widokiem klęski, którą niesie na zwałach krwi okrutny zalew wojny. Wszystkie potworne, intelektualne i uczuciowe antynomie wojny: wzmożony po stan niemal ekstazy zmysł zbiorowego samozachowania, który karmić trzeba zaparciem najprostszych instynktów biologicznych jednostki; owa krwawa budowa jutra, którą nawozić trzeba gruzem kulturalnej pracy wieków; nakazane wreszcie imperatywem zbiorowości rozdarcie duszy między miłosną askezą ofiary a morderczą celnością nienawiści — jest to węzowisko sprzeczności tak dojmujących, że znaleźć formułę syntezy, w której się pogodzą, znaczyłoby obiecać milionom paladium ukojenia, w którym serca ludzkie, trafione w samo sedno swych umiłowań, odszukają stracony zda się bez ratunku, miniony rytm swego tętna.

Książka Schelera, czytana dzisiaj i podziwiana w Niemczech ponad miarę, nie kwapi się spełnić tych obietnic. Jest apoteozą wojny, opartą o pogląd na życie niezachwianie optymistyczny. Jak wskazuje tytuł, ma część filozoficzno-psychologiczną i polityczną. W pierwszej odrzuca autor argumentacją retoryczną raczej, niż przekonywującą znane mu koncepcje wojny: biologiczną genezę z walki gospodarczej, racjonalistyczną w sensie kantowskiej i nowszej, moralno-jurystycznej teorii pokoju, wreszcie dyplomatyczną z angielskiej teorii równowagi. Wojna nie jest dla niego zjawiskiem ekonomicznym ani politycznym, ale metafizycznym: jest trwałym urządzeniem świata, istotnym, pozytywnym członem boskiego planu zbawienia. Regulatywną ideą tego planu, urzeczywistniającego się postępowo w rozwoju dziejów, jest najwyższa społecz-

ność miłości, królestwo boże. Po tej to drodze miłości, szlakiem krwi i rozpaczcy, prowadzi geniusz wojny ludzkość; jest potężnym twórcą jedności: rozerwane w pokoju grupy socjalne jednoczy w obliczu grozy dziejowej w oczyszczoną duchowo jedność narodową. Dotąd myśl Schelera, jakkolwiek paradoksalnie sformułowana, jest mniej więcej zrozumiała i wielokrotnie powtórzona. To, co następuje, jest istotnie nowe, ale też zgola chaotyczne: ma ono dowodzić, jak w ogniu wojny gotują się nowe jedności międzynarodowe, póki nie zjednoczą się w miłosną jedność duchową Europy, a po stuleciach walk między częściami globu w upragnione nowe Jeruzalem królestwa bożego na ziemi. Na razie z regulatywnej idei dziejów wywodzą się trzy metafizyczne wartości poznawcze wojny: realność narodu, jako osoby zbiorowej; odnowa właściwego stosunku życia i śmierci w świadomości ludzkiej, wypaczonej pokojowym hedonizmem; wreszcie pojęcie wojny jako sądu bożego. Wojna godziwa odpowiadać musi dwom warunkom: przeciwieństwa, które się w niej mierzą, winny mieć doniosłość wartą ceny krwi, powtóre winna być nakazana rdzenną wolą zbiorową narodu. W części politycznej wywodzi Scheler, że jedynie sprawa niemiecka ma te znamiona: nie jest to wojna ras, — autor jest wrogiem wszelkiej historyzofii biologicznej — lecz walką dwu antypodów ideowych: bizantynizmu Wschodu z sercem Europy. Ze część Zachodu zdradziła ideę Europy, winien jest angielski, z obłudnym cantem przedziwnie ożeniony utylitaryzm; zniszczenie go jest tedy koniecznością, bez której pierwszy etap na drodze do jedności królestwa bożego na ziemi: patryotyzm wszechuropejski nie da się urzeczywistnić.

Improwizacja ta, wygłoszona w tonie niemal dytambicznym, ma ustępy, pisane pierwszorzędnym talentem pisarskim. W ustępach lirycznych odnajduje akcenty głęboko odczute, w partyach historyzoficznych razi dogmatyzmem, z jakim konstrukcye w najlepszym razie prawdopodobne narzuca, niby oczywiście transcendentny sens dziejów. Bezkrytyczne to zaufanie emocjonalnym assocyacjom pojęć czyni z książki Schelera doskonałe prolegomenon do bezliku broszur wojennych, które zrodzone w hypnozie dyskusji, zalewają witryny księgarskie: kilkaset tytułów, lekkomyślnie obiecujących załatwienie najdotkliwszych problemów chwili, zebrano pospiesznie w kilku seryach wydawniczych: „Zwischen Krieg und Frieden“, „Zur Zeit und Weltlage“, „Dokumente zur Geschichte des europäischen Krieges“, „Kriegsschriften unterm eisernen Kreuz“.

tad. św.

Z TEATRU.

Scena miejska walczy nadal z trudnościami ekonomicznymi, wobec których milkną bezwzględne kryteria artystyczne. Kadry aktorskie, wzmocnione powrotem sił niezbędnych, gotowe są już do podjęcia normalnej kampanii sezonu. Czy gotowi są jednak również słuchacze? Na razie, zwabieni repertuarem wyłącznie niemal farsowym, odwiedzają teatr licznie. Scena stoi od miesiący całych pod znakiem krotoczwili i z rezygnacją spełnia na swój sposób zadania samarytańskie, w atmosferze beztroski, po cenach nad miarę niższych podając sedativa wyczerpanym nerwom publiczności,

skolatanej bezustanną rewizją oryentacji, studyowaniem raportów strategicznych i bezlitosną oscylacją między nadzieją rychłego pokoju a lękiem ponownego przeglądu pospolitaków. Czy stan ten może i powinien trwać długo, czy słowo sceniczne nie zechce niebawem nadążyć choćby z oddali patosowi chwili, załopotać wichrem nadziei, zapłakać nad wieczną krzywdą narodu, zawarczyć szczękiem groźby, załkać wyrzutem sumienia? Słowem, czy nie zatęskni za wielkim repertoarem widowia, którą od lat dziesiątek teatr Wyspiańskiego gotował na przyjęcie tej „dziwnej, osobliwej chwili“, przemiany świata? Wszakżeż to scena, przez którą przeszedł korowód rycerzy, wyznawców, męczenników i świętych polskich, te same deski, Polskę wyobrażające, na których w ciało sceniczne obiekły się poraz pierwszy mesyjaniczne tęsknoty Słowackiego, historyzofia Krasińskiego, na których Konrad mocował się najpierw z Bogiem, a później z romantyczną złudą kwiatyzmu, gdzie wreszcie zabrzmiały poraz pierwszy jasnowidzące inkantacje Mickiewicza, plutonowego legionu biblijnego, w święto męczeństwa św. Andrzeja, patrona Słowian, rozpacznym szlochem serca wyłkana modlitwa: „Błagamy Cię, Boże cudów, o wojnę, o wojnę ludów!“ Bóg wysłuchał tej prośby i zmieniona jest zagna scenerya theatrum polskiego: na scenie wojny jedyny niewątpliwie realny dobytek męczeństwa: rozpaczliwa ruina pobojowiska, ale po stronach, ale w głębi rozsunęły się kulisy niewoli i ludzją upajającą perspektywą przyszłości: po bokach graniczne pobrzeża Polski od morza do morza, w głębi błędne, kłamliwe ogniki błot pińskich i melancholia stepów Ukrainy. W tej to dekoracji, w oświetleniu pożogi gra się tam za rampą rowów strzeleckich tasama sprawa polska, której fikcja wyczarowywała się wieczór za wieczorem na tej scenie, nadsluchującej zawsze czujnie, z bezbrzezną tęsknotą, rychło krakowskim gościńcem od Warszawy nadjedzie Wernyhora z orędiem, rychło w godzinę wołaną ozwie się granie złotego rogu.

Tradycje sceny krakowskiej, która w „Wyzwoleniu“ na oczach widza stawała się Wawelem, są tak uroczyste, że mimo wszystkie względy, aż nadto zrozumiałe, nie przestaje być ironią zbyt bolesną fakt, że właśnie

w tej chwili wznawia się tu Bałuckiego. Nie chodzi mi o to, aby poraz setny i któryś powtórzyć wszystkie komplementy, którymi swego czasu do syta sowizdrzały i arendarze czystej sztuki piętnowali mieszczańską miżeryę, szlafrokowy sentyment, podwórkową swojszczyznę, śniadańkowy liberalizm tego pisarza. Ale choćby wyzwicka te były mniej lub więcej antypatyczne, nikt nie poradzi na to, że krotochwila Bałuckiego naprawdę odslużyła już swoją rolę przecinka między kontuszową komedią Fredry a naturalistyczną Zapolskiej i nie powinna być z martwych budzona. Jest zbyt młoda i bezstylowa, by dała się stylizować, a w latach kilkunastu zdążyła jednak zwiędnąć do tyła, że koncept jej brzmi jak anachronizm, godzi nie wiadomo w kogo i pada w pustkę bez rezonansu. Nadto wybrano jedną ze sztuk słabszych: „Gęsi i gąski“. Grano dobrze, choć bez przekonania. Panie: Czaplinska, Kamińska i Jarszewska, panowie: Grabowski, Noskowski i Bończa są dziećmi pokolenia aktorskiego, odległego od teatru Bałuckiego i Przybylskiego na ten właśnie dystans przemian, jaki dzieli solidarne sfraternizowanie się za pan brat z tradycyjną pływającą uczuciu i domatorskiego intelektu, (wspólną własnością autora, jego figur i publiczności), od tragikomedii kołtuńskiej Kisielewskiego, Zapolskiej i Perzyńskiego, która z pod pozorów swojskiej serdeczności wywleka na światło kinkietów rafinowaną obłudę pp. Kłopotkiewiczów czy Dulskich.

Scena miejska po roku przesilenia stoi na rozdrożu. Zbiegiem okoliczności nad wyraz szczęśliwym przechodzi jej kierownictwo w takiej chwili w ręce poety. Zbyt blizkie związki wiążą to pismo z Lucyanem Rydlem, bym mógł bez osłon powiedzieć, ile nadziei łączy scena krakowska z tym świetnym nazwiskiem. Pokonanie spiętrzonych ponad miarę trudności wymagać będzie olbrzymiego sumptu pracy, entuzjastycznego umiłowania Sztuki, wysokiej kultury literackiej i władczej znajomości teatru. Wystarczy świadomość, że obecny dyrektor posiada przymioty te w stopniu dawną wypróbowanym, aby z ulnością czekać rychłej odbudowy pierwszej sceny polskiej.

Tadeusz Świątek.

